

Życie w zgodzie ze sobą

Rozmowa z Zofią Kucówną

— Znamy panią jako wybitną aktorkę, o pani uzdolnieniach plastycznych także powszechnie wiadomo, ale o talentach pisarskich dowiadujemy się teraz dzięki książce „Zatrzymać czas”. Jan Józef Szczepański swój list do pani rozpoczęła słowami: „Pani Zofio, napisała pani bardzo piękną książkę”. Andrzej Hausbrandt zaś powiada, że debiut wskazuje na to, iż pisarstwo łatwo może stać się pani drugim fachim. Gratuluje.

— Dziękuję.

— Jest to właściwie rodzaj pamiętnika. Występuje w nim sporo osób o znanych nazwiskach, zarówno ze środowiska kulturalnego, artystycznego, jak i przedstawicieli życia politycznego. Czy miała już pani jakiegoś echa tej książki?

— Na razie nie. Książka wyszła w małym nakładzie i nie rozeszła się powszechnie. Wśród najbliższego mi otoczenia przyjmowana jest na ogół pozytywnie i serdecznie, z paroma, jak na razie, pretensjami; m.in. od jednej przyjaciółki, która przeczytała w nim moją niechęć, a nawet pogardę do mojego środowiska, co mnie okropnie zdziwiło, ponieważ należę do tych przedstawicieli „mojego środowiska”, którzy kochają je, co nie znaczy, że zawsze lubią. Dowodem tej miłości jest moja nieustanna praca społeczna dla niego. A i to, że nie jestem bezkrytyczna wobec niego, również dowodzi mojego uczucia, albowiem jest się bezkrytycznym wyłącznie w stosunku do ludzi, którzy nas nie obchodzą. Pozwoliłam sobie w tej książce od czasu do czasu przejechać się po nas dlatego, że jestem żywym, normalnym organizmem tego środowiska, reagującym bardzo intensywnie na każde jego poruszenie, starającym się nie lukrować, lecz oglądać je takim, jakie jest i pisać o nim tak jak się go widzi. Zasada „trzymania twarzy” za wszelką cenę jest mi obca i potracą o obłudę. Zanim napisałam tę książkę, zrobiłam rzetelną rachunek z samą sobą i podjęłam decyzję, wcale niełatwą, pisanie zgodnie z moją pamięcią, moim myśleniem, moim odczuwaniem, wliczając wszystkie koszty konsekwencji. I tych miłych i tych niemiłych. Każdy czyta to, co chce przeczytać, a nie to, co jest napisane. Najlepszym dowodem jest przeciwna uwaga, że w tej książce trochę za dużo słodyczy i dbania o to, by nikogo

broń Boże, za bardzo nie urazić.

— A politycy? Jednym z najmocniejszych akcentów tej książki jest zamieszczenie w niej pani listu z 1986 r. do generała Jaruzelskiego, w którym występuje pani w obronie ludzi sztuki i nauki. Konsekwencją owego słynnego listu była niemniej słynna rozmowa pani z generałem Jaruzelskim. Zanim doszło do niej wpieryw została pani poproszona do generała Kiszczaaka. Obydwie wizyty dość dokładnie zrelacjonowała pani w książce. Dlaczego dotąd odmawiała pani informacji na ten temat?

— Uważałam, że obowiązuje mnie pewna dyskrekcja na ten temat, mimo że sam gen. Jaruzelski uwolnił mnie od niej ujawniając list panom: Kiszczaakowi i Świrgoniowi. Zdecydowałam się zamieścić to zdarzenie w książce dlatego, ponieważ narosło wokół niego tyle plotek i nieporozumień, że wolałam aby poszło w świat zgodne z prawdą. W moim życiu miało ono ważne znaczenie, nawet ekscytujące, w życiu Kiszczaaka i Jaruzelskiego raczej marginalne. Nie takie przecież spotkania odbywali. Zapis tych rozmów zrobiłam natychmiast na gorąco po powrocie do domu. Staralam się spisać wszystko jak najwierniej.

— Zastanawia mnie pani powściągliwość w ocenie ówczesnej sytuacji politycznej, wydarzeń politycznych, przełomowych wręcz dla naszego życia. Pisze pani wszak o latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a więc KOR, strajki, powstanie „Solidarności”, stan wojenny, bojkot telewizji. Czy taki zapis tamtej sytuacji wynikał z pewnej ostrożności, braku dostatecznej wiedzy na ten temat, czy też z przyjęcia przez panią takiej właśnie postawy?

— Jest to odbicie mojego ówczesnego myślenia i widzenia spraw. I tak jak w życiu prywatnym pozwalałam sobie na wybuch euforii, egzaltacji, afektacji, tak wydaje mi się, że w oglądzie świata zewnętrznego zachowuję pewien racjonalizm. Okropnie nie lubię wyrażać swojej opinii o czymś, i tzw. stuprocentową pewnością, albowiem uważam, że w życiu wszystko jest względne, relatywne, wszystko zależy od punktu widzenia. Pamiętam, że choć byłam wstrząśnięta wszystkim tym, co się wybrało dookoła, potrafiłam powściągnąć emocje i tworzyć własną egzystencję z włączonym instynktem samozachowawczym. Być może jestem nawet odbierana przez niektórych ludzi jako osoba chłodna. Ale to wynika stąd, że ja nie pozwalałam sobie na to, żeby nienawidzić, czy żeby potępiać. Tę cechę chyba odziedziczyłam po matce, którą świetnie pamiętam z różnych okresów historycznych. Zachowywała się podobnie. Podobało mi się to w



Fot. R. Dudley

niej. Nigdy nie pozwoliła sobie na histerię i miała odwagę mieć swoje własne, oddzielne zdania.

— Jest pani introwertyczką, a tu otwiera się przed czytelnikami.

— Niektórzy uważają, że pisanie dzienników lub pamiętników jest czynnością bezwstydną, bo równa się wystawianiem siebie i swoich intymnych myśli w futrynę sklepową. A przecież cokolwiek robimy, mówimy o sobie. Zawsze, który mnie utrzymuje od 35 lat, jest najbardziej ekshibicjonistyczny, o wiele bardziej niż pisanie, ponieważ używa również i mojego ciała. Nie tylko myśli, czy przeżyć. Namawiana przez Romanówkę, później Kuncewiczową pisałam, ale bez specjalnej wiary w wartość tego pisania. Widziałam w nim pieszczonkę się, rozdmuchiwanie w sobie nie interesujących nikogo problemów i szczegółów duchowej hipochondrii. Zmieniłam do niego stosunek, bo zmienił się mój stosunek do siebie. Z antyegolistycznego w egoistyczny, którego nie mam zamiaru zwalczać. Może to złe i nieskromne. Nic nie poradzę. Tak jest: Sądzę, że miała tu znaczenie moja kilkuletnia nieobecność w teatrze i lęk przed zapadnięciem się w bezmierność. Nagle zamknęłam mnie w domu wyzwoiliło pragnienie wyjścia z niego książką.

— Sama ją pani zilustrowała.

— Trudno powiedzieć, że zilustrowałam. Są to właściwie wybrane z mojego szkicownika rysunki, szkice. Lubię, gdy mam trochę wolnego czasu, lub gdy mnie grypa przytrzyma, wziąć tusz, piórko lub

miękki ołówek i fysować. Ale mam prawidłową ocenę tego rysowania. Nic nadzwyczajnego.

— Ma pani teraz dobry okres w swoim życiu zawodowym, udane role w teatrach, wydana i nagrodzona książka. Czy to wystarcza, by czuć się szczęśliwą?

— Nie, to nie jest szczęście. To za mała sprawa na szczęście człowieka wszędzie i nagle. Sukcesy zawodowe sprawiają zadowolenie, natomiast szczęście przynoszą zupełnie inne rzeczy. Szczęście zaskakuje człowieka wszędzie i nagle. Szczęście jest krótkotrwałym aktem strzelistym. I może się nie ważne nie działać, o po prostu, idzie się ulicą i widzi się spływający z drzewa na ziemię liść. I ten liść powoduje, że nagle przepelnia nas uczucie szczęścia. To również może być promień słońca. Cokolwiek. Coś nagle z czymś się skojarzy... Są to zupełnie irracjonalne stany, nieodgadnione. Szczęście to są predyspozycje. A te wszystkie sukcesy, jak książka, premiera, rola, recenzje — dają jedynie zadowolenie, sprawiają przyjemność, niosą spokój, że się nie marnuje życia. Ale to nie to samo, co szczęście. A że w moim życiu zdarzają się i lecące liście i promienie słońca i... bywam szczęśliwa.

Rozmawiała
TEMIDA
STANKIEWICZ-
-PODHORECKA